



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś. † P.

*Antoni Zaleski.*

Człowiek ucziwy, człowiek zacny społeczeństwu swemu użyteczny, Antoni Zaleski, wydawca i współredaktor dziennika „Słowo“ odszedł na odpoczynek wieczny przedwczesnie, bo ledwie w połowie męskiego wieku, w trzydziestym siódmym roku życia, więc w tej chwili właśnie gdy głębsze poznanie celów życia, tego co jest prawdziwą dola i niedola człowieka, dawało mu możność rozwinięcia szerszej działalności społecznej. Nietylko talent jego pisarski czynił to, że wszystko co wychodziło z pod jego pióra było pociągającym, miłym dla czytelnika, ale pojęcia jego i kierunki myśli ucziwie działały tu przeważnie i jednały mu szacunek ludzki, a ci, którzy go znali blisko, wróżyli sobie że poglądy jego na życie wzmożone przez doświadczenie, otworzą mu szersze jeszcze horyzonty wiedzy o człowieku i pozwolą głębiej sądzić o tem, co jest jego obowiązkiem, wybitniej w praktyce czynów życia przedstawionym sobie. Badał on je już przecież zawsze z punktu podniosłego przeznaczeń ludzkości, jak tego dowodzą wyrazy, powtórzone za Lacordaire'm, a wyrzeczone po wyjściu z wesołej zabawy do jej współtowarzysza, I. Königa: „Jakże mi żal tych ludzi bogatych, którzy wyszedłszy ze światowych swych zebrań i spotkawszy biedaka, nie mówią sobie: Byliśmy przez godzin kilka nędznymi egoistami, bądźmy dobrymi, chociaż na sekundę...“

Kto umie tak czuć i patrzeć na życie, na obowiązki społeczne, musi być nieomylnie nietylko czło-

wiekiem dobrego serca, ale potrafi dać istnieniu swojemu kierunek podnioslejszy. Ci, którzy go znali blisko w życiu codziennym, przyznają mu też cnotę tę wysoką, że był w stosunku z ludźmi nietylko miłym w obcowaniu, ale rad zawsze czynić im dobrze, ulżyć ciężarowi tym, którzy uginali się pod nim, wspomóc w potrzebie. Ci, którzy znali bliżej jego życie i stosunki domowe, twierdzą, że tę miłość bliźniego przelała weń matka, kobieta rozumna i wyższego na życie poglądu, ale trzeba dobrego gruntu, aby rzucone weń ziarno, przyjęło się i wybujało w górę kłosem zdrowym.

Urodzony w 1858 r. we wsi Stodółce wśród bogatej przyrody podolskiej, w dzieciństwie utracił ojca ale matka umiała dać dobry kierunek jego wychowaniu. Kształcony starannie w domu, został następnie oddany do szkół w Krakowie, do gimnazjum realnego, gdzie wykazywał już umysł wyższy i zamiłowanie nauki, a gdy z kolei przeszedł na politechnikę do Pragi czeskiej, zdawać się mogło że pójdzie już w życie tym szlakiem, ale w piersi jego, rozbudziła się teraz siła inna pod wrażeniami nowemi. Zaćny kapłan, kanonik Sztule, poznaje w nim zdolności i usposobienia inne, radzi mu, aby szedł za natchnieniem swoim, więc zaczyna pisywać do „Gazety Polskiej“ korespondencye, „Listy z Pragi“, które zajmują wielce czytelników, a gdy następnie zamieszkał w Krakowie redaktor czasopisma „Echo“, Zygmunt Sarnecki, dostrzeżga w nim talent i czyni go współpracownikiem pisma swego, w którym zamieszcza szereg studyów o ludziach, zajmujących wybitniejsze miejsce w ruchu życia społecznego. Umysł jego żywy i chciwy wiedzy, nie daje mu się przecież przykuć do pióra jedynie; potrzebuje ruchu, potrzebuje odetchnąć powietrzem przestrzeni szerszych i w towarzystwie dwóch niepospolitych ludzi: Sienkiewicza i Kazimierza Pochwańskiego puszcza się w podróż też nie ubitym szlakiem wiodącą, do Stambułu, który zwiedza niepowierzehownie, a książka, która powstała z wrażeń tej podróży, nietylko jest zajmującą ale mieści w sobie spo-

strzeżenia rzucające światło na organizację wewnętrzną ludów muzułmańskich.

Wyobraźnia jego żywa przerzuca się przecież łatwo ku nowym kierunkom twórczości; pisze wspólnie z Gawalewiczem powieść „Wieś do sprzedania“, która dała mu uznanie wyższe, i drugą zamieszczoną w Słowie „Pan Radca“, ale ostatecznie, zabiera go sobie publicystyka, a w tym właśnie czasie serce jego uderza goręcej. Kocha i jest wzajemnie kochanym, pojmuje za żonę Zofią z Szydłowskich, zostaje w kolei czasu ojcem dwojga dzieci i wszystko, co może zadawałniać życie w kole rodzinnem, więc być szczęściem w jego części wielkiej, dostaje mu się całkowicie, któż przecież powiedzieć może, co jutro mu przyniesie? Choroba serca podkopuje jego organizm, występując w objawach groźnych, lekarze zabraniają mu pisać, zabraniają szczególnie pracy terminowej, ale ludzie, którzy nie są nieością nie mogą znieść bezczynności, bo praca jest im potrzebą ducha i tak też było tutaj. Nie porzucił pióra, i chociaż w początkach lipca wyjechał z Warszawy do Ciechocinka dla kuracji synka, jakkolwiek zdawał się zrazu orzeźwionym świeżem powietrzem było to przecież polepszenie pozorne i z upałami, jakie przyniósł koniec tego miesiąca stan jego się pogorszył i śmierć zabrała przedwześnie społeczeństwu naszemu zacnego i pożytecznego człowieka, który mimo silnych przekonań, przy których stał mocno, umiał być bynajmniej nie pobłażliwym, ale przez dobroć serca uwzględnił nieraz litościwie to, co popycha ludzi na manowce życia błędne.

„Ludzi u nas trzeba nieraz ciągnąć siłą do dobrego uczynku—mawiał przyjaciółom.—Nie są źli, chętnie nawet robiliby dobrze, gdyby nie gnuśność pewna, paraliżująca chęci dobre.“

Aby przekonania takie sobie wyrobić, trzeba na to podniosłego umysłu, któryby sąd wydany umiał opierać na szerszych życia podstawach i dobroci serca, jaką daje nam ta miłość ludzi, z której pomocą życie może jedynie być szlachetnie piękne

i rzeczywiście pożyteczne, bo przejęte tą wolą do-  
brą, jaka z serca wypływając wykazuje umysłowi  
kierunki, wiodące do tego celu u którego stanął  
człowiek ten uczeiwy, którego społeczeństwo nasze  
żegna z żalem.

M. I.

## I PO CO?...

...I po co

Na wonnych łąkach z każdą nową wiosną  
Tysiące kwiatów barwią się i rosna,  
I w blasku słońca kąpią się i złocą,  
Jeżeli jedno nie zakwita kwiecie,  
Gdy zapomnienia kwiatu nie znajdziecie  
Nigdzie na ziemi?...

I po co

Co wiosna, w ciche wieczory majowe,  
Gdy do snu senną ułożysz już głowę,  
Słowiki w gajach tak cudnie świergocą,  
Gdy najcudniejsza z piosnek nie rozbudzi  
Bratniej miłości w zimnych sercach ludzi  
Dźwiękami swemi?

I po co

Nieznana ręka na niebios lazurze  
Co noc zapala gwiazd miryady w górze,  
Co, jak brylanty, w ciemnościach migocą,  
Gdy życie całe oko szukać może  
Naprawdę gwiazdy szczęścia w tym przestworze  
Na niebie całym?

I po co

Przychodzić na świat, i żyć, i umierać,  
I własną duszę cierpieniem rozdierać,  
I straszne męki znosić dniem i nocą  
Jeżeli w wiecznej konać ma rozterce  
To biedne moje, zakrwawione serce,  
Którym kochałem?...

Selim.

## POGAWĘDKA.

Nie z przyjemności, ale z obowiązku kronikar-  
skiego muszę od czasu do czasu porzucić lubę na  
wsi schronisko i wpaść na bruk warszawski, by za-  
brać języka o sprawach bieżących, dowiedzieć co  
się dzieje w przepalonym od upałów słonecznych  
Syrenim-grodzie, boć przecie trudno, ażeby jak  
kropła do kropli, dzień do dnia był podobny.

Niestety!

Cisza—cisza—i cisza.

I dziwnie! Pomimo, że miasto żyje, rusza się,  
grzmi nienastającym turkotem; pomimo rozrywki;  
pomimo, że Sołoducha „kropeleczkę“ za każdym  
nowym haustem kasztelańskiego miodu powtarza,  
w mieście jest—cisza...

— Co słyhać?—pytam redaktorów pism.

Wzruszają ramionami.

Spotykam znajomego aktora z Teatru Rozmaito-  
ści i rzucam to samo pytanie.

— Jak dotąd nic—brzmi odpowiedź.

Gdziekolwiek się zwrócę, wszędzie, nic—nie!

Ha! więc i „nie“ ma pewną potęgę w sobie!

Wielu ludzi wyjechało zagranicę, to do letnich  
siedzib; nie powrócili jeszcze, lecz wróca; gdy wróca,  
może wraz z niemi świeższy powiew powieje od gór,  
lasów i mórz...

Zmuszony dni parę przebyć w przepelnionej ku-  
rzem Warszawie, doprawdy, nie wiem, co z sobą  
mam uczynić. A przecie już się lata w niej prze-  
mieszkalo, i to przemieszkalo tak, że podczas naj-  
gorętszych miesięcy, kiedy rtęć dobiegała do trzy-  
dziestej kreski wyżej zera w termometrze, nie  
opuszczało się na chwilę rozpalonych bruków ko-  
chanego miasta—i—choć znajomi dobrzy i dobrzy  
przyjaciele do zagórskich udali się krain, choć zo-  
stawałem sam, jak palec—nie czułem tego znuzo-  
nia, tej nieumiejętności zabicia nudnie płynącego  
czasu jak teraz.

Dlaczego! rzucam sam sobie pytanie.

Dlaczego?

O, wsi spokojna, otoczona wieńcem lip, pachnąca  
zapachem kwiecica, rozkołysana pieśniami skowron-  
ków i uroczystym szumem prastarych drzew—to  
twoja wina! To wina tych czarów, które pełnemi  
garściami rzuciłaś na mnie, to wina tych wspo-  
mnień, które w mojej rozbudziłaś duszy, boć jestem  
twoim dziecięciem, rozkołysany na twoich zielo-  
nych niwach, wykarmiony twą pieśnią i mleczem  
kwiecica. Zagadałaś do mnie wszystkimi marze-  
niami lat młodych, wszystkimi pragnieniami rwa-  
cego się do życia serca; zagadałaś do mnie głosem  
z lepszego świata, w którym to jeszcze stulistne ró-  
że kwitły, żaden cień nie przykrywał złotych bla-  
sków słońca, wiatr żaden nie nawiewał chmur na  
czoło dziś zmarszczone.

To twoja wina, wiosko!...

Doprawdy, jej to wina, boć to nie bagatela mie-  
siące trzy prawie być tylko samym z sobą, otoczony  
tą sielską ciszą, której żaden język nie wypowie;  
przez trzy miesiące zerwać zupełnie niemal ze swia-  
tem, zapomnieć, że gdzieś na Formozie cholera  
dziesiątkuje ludzi, że burmistrz gdański się gniewa,  
a książątko koburgskie w dniu imienin Franciszka  
Józefa urzędują w górach Radopskich polowańko;  
nie zakłócać sobie głowy wynikami zbierającego się  
kongresu pokoju, nie niepokoić się kłopotami Hisz-  
panii, do której Kuba, coraz szczerzej przepija, ani  
myśleć o Hawasach, którzy jakoś dotąd przytrzeć  
sobie rogów nie dali. Jest urok niewypowiedziany  
w tem *dolce far niente* po pracy, w tym wielkim od-  
poczynku, którego się doświadczyło wreszcie po la-  
tach trudów niemałych.

Lecz wszystko przemija na tym bożym świecie,  
a najszybciej przemijają te dni jasne, noce spokoj-  
ne, nie zamacone niczem a niczem, złote dobre  
chwile. Zresztą, zawsze to lepsze, co przeszło. Ta-  
ka już natura ludzka, — nie poradzisz nic na nią.  
Dni nawet ciężkie, męczące, na które narzekali—są  
stokroć lepsze od tych, jakie przeżywasz, choć żad-  
nej a żadnej między nimi różnicy nie ma.—Lecz  
gdy chwile bieżące rządzą tobą, nad minionemi pa-  
nujesz ty swoją pamięcią, a ta pamięć, będąc kró-  
lową przeszłości, wybiera z niej to tylko, co więcej  
miało blasków i tęczy.

Lecz chwile, o których mówię, chwile ciszy i spo-  
koju wiejskiego, nie były niczem zmacone. Stałoby  
się inaczej, gdybym pozwolił myślom biedz w przy-  
szłość, odehylać zasłonę pokrywającą dzień jutrzej-  
szy. O, stało by się inaczej! To jutro ma zawsze  
groźną twarz dla mnie, to jutro o kamiennem obli-  
czu, nie zna uśmiechu, nie zna litości, choćbyś, jak  
do Boga, dłonie wyciągał. Ale rzuciwszy troski  
wszystkie wśród czterech ścian mojego jaskółczego  
mieszkania — chciałem na łonie przyrody, pod da-  
chem przyjaciela odpocząć tym wielkim spokojem,  
który—że mi się należał — mówiłem. Ażeby ten  
spokój był, potrzeba było zapanować nad własnymi  
myślami, nie myśleć o dniach, które nadejdą, bo  
przyjść muszą, z którymi oko w oko spotkam się  
znowu i zaczęty od dawna, a nieskończony dotąd  
bój toczyć będę. Postanowiłem nie myśleć o tych  
chwilach ciężkich a kofyszących się wciąż na obło-  
ku przyszłości.

I dobrzem zrobił!...

Odetchnąłem pełną piersią, duży zapas sił  
wtechnąłem w siebie—na walkę dalszą. Napatrzy-  
łem się na słońce. Skąpałem się w morzu rozble-  
kitnionego powietrza, odurzyłem się wonią polnych  
kwiatów, zapachem lip i żywicznym sosen aroma-  
tem. Słuch mój nasycił się nie przebrzmiałemi  
jeszcze skowronkowemi pieśniami, dźwięki niejed-  
nej piosnki wieśnianej brzmią wciąż w mojej pamię-  
ci, długo nawet w ustach czuć będę smak wody  
źródlanej i jej orzeźwiający wpływ na ciało znuzo-  
ne upałem. Nie prędko zapomnę o wschodach i za-  
chodach słońca,—a ja na ten codziennie powtarza-  
jący się cud przyrody umiem patrzeć. Na ziemi  
jeszcze błakają się cienie, na stawach nieruchome  
mgły leżą. Sen, sen wszędzie.—Lecz oto powoli  
czoło nieba błędnąć zaczyna, zapóźniony gdzieś  
obłok biały wysrzebrzył się i spłonął rumieńcem.  
A niżej, niżej, tam, na wschodzie, jakiś duch nie-  
widziany, tajemniczy, potrząsać począł szatą utkaną  
z barw tysiąca. Na tle roztopionego topazu zamig-  
gotały szmaragdy, ale je wnet pokryły wstęgi z ru-  
binów i szarfy z opalów. Wprawna dłoń jakiegoś  
arcymistrza rozpoczęła pracę dziergania; zamało  
już jej szmaragdów i opalów, rubiny przetopili się  
w baryle, płaszcz ze złotogłowa pół nieba objął,  
a ma to być płaszcz królewski. Więc syją się  
brylanty olbrzymią falą z blasków nierównanych,  
niektóre świecą kolorem krwi, inne drgają odbi-  
ciem jakiegoś olbrzymiego pożaru. Lecz rozsypują  
się brylantów perły, potrzeba je związać, by nie za-  
lały całej przestrzeni nieskończonego nieba. Nie-  
widoma dłoń artysty cisnęła w nieskończoną głębię  
błękitnych pasm kilka nici złotych. Patrz! patrz! z ja-  
ką szybkością te nici placzą się, wiążą, rwą się, roz-  
tapiają się w falach nadpływającego z kądeś ogni-  
stego morza. Buchnął pierwszy słup promienia,  
dosięgnął szczytu:—znak to, że w otwartych wscho-  
du podwojach staje mocarz świata. Wszelkie bla-  
ski i światła, purpury i seledyny, zwały się teraz  
w jedną falę ognia, ogromne, wspaniałe słońce we-  
szło, płomiennem okiem objęło świat cały i—powi-  
tane uroczystym szelestem drzew, pieśnią rozbudo-  
wanych ptaków, rozwijających się kwiatów wonią—  
rozpoczęło tryumfalny swój pochód przez ocean  
błękitów.

To cud widziany na niebie,—a czy przypatrywa-  
liście się ziemi, którą budzą pierwsze blaski poran-  
ku, pierwsze pocałunki słońca?—podpatrzyliście ją  
w chwili, gdy na pół marząca, na pół senna jeszcze  
kładzie na pierś swoją strój dziecinny, doбира bar-  
wy, cienie i półcienie, oblewa się wonią kwiatów,  
szmerem dębów, lip i sosen pacierz swój szepee,  
oddycha falami jezior, rzek i stawów, w brylanty  
ros się stroi i skąpiana w jasności wschodzącego  
dnia, rozwiawszy mgieł muśliny, czeka na przyjście  
króla—kochanka?

Już idzie—idzie!...

Drgnął promień pierwszy i prześliznął się przez  
pierś ziemi, ziemia rumieńcem spłonąła. Ten pro-  
myk dał jej życie, szczęście i rozkosz. Czujesz że  
dreszcz ją wstrząsa, że rumieńcem ogniem płoną, że  
tonie w słońcu, że słońce ją ogarnia i przenika.  
I staje cała w rumieńcach róż, w szmerach traw  
i drzew, rozjaśniona szczęściem ogromnym,—a słoń-  
ce w tryumfie zwyciężkim, poszło wyżej, rzucając  
blasków wciąż więcej i ciepła wciąż więcej.

Szukamy cudów w legendach średniowiecznych,  
szukamy cudów w kuglarstwach czarnej magii,  
a mamy wciąż cuda przed sobą. Powiem może, że  
są zbyt powszednie, zbyt znane, ażeby o nich mó-  
wić warto było. Powszedniość jednak nie zmniej-  
sza nieporównanego z niczem piękna, o znajomości  
tych zjawisk, aczkolwiek codziennych, wątpić mi  
wolno. Nie zmyślam, lecz bardzo wielu spotyka-  
łem ludzi, którzy letniego nie widzieli wschodu słoń-  
ca. A zresztą, można patrzeć i nie nie dojrzeć, bo  
umiejętnością jest nawet i patrzeć. Kocham  
przyrodę, rozumiem ją, nie dziwiw się więc, że mnie  
pociągają jej czary. Zresztą gawędę z wami, ot—  
jak z dawnymi, starymi przyjaciółmi. Na wrendzie,  
czy przy kominku pogawędka prowadzona nieko-  
niecznie jednego trzyma się przedmiotu. Co myśl  
zrodziła, powtarzają słowa, a że czasami myśl z chę-  
cią odrywa się od poziomu powszedniego życia  
i powszednich wypadków, gdy nie wstrząsającego  
nie porusza dusz naszych, dobrze jest kiedy nie kie-  
dy zatopić się w rozwieszonych nad nami błękitach,

szlakiem drogi mlecznej wzbicie się wysoko i rzucić gwiazdom pytanie i śledzić wspaniały bieg słońca.

A noce, te noce miesięczne, niezrównane w pięknościach swoich, przez poetów po tysiącokrotnie opisywane. Miasta nie znają nocy takich, wypełnionych ciszą niezmierną, w której zdaje się, że słyszałbyś szmer skrzydeł motyli, gdyby motyle na wierzgłowi róż nie spały.

Po tych rozkoszach wsi, zjawienie się na bruku miejskim równać się może upadkowi z nieba na ziemię. Rozpalone mury, kamienie i asfalty chodników—nieznośnym ogniem cię pieką. To też skryłem się zaraz w cieniu drzew saskiego ogrodu, do owego letniego salonu Warszawy, który z rokiem każdym piękniejszy się staje i jest w śródmieściu jedynym miejscem odpoczynku starców potrzebujących słońca, dziatwy — spragnionej powietrza. — A — prawda!... Jest jeszcze miejscem popisu strojów niewieściech.

Od rana ogród zapełniają tłumy, grzechotki strojów dają znać, że bramy zamykać się będą. W porze letniej ogród, jest przepelniony dziatwą; skaczą chłopięta i dziewczątka, checiwami rączkami chwytają migocące w powietrzu blaski słońeczne, brzmi śmiech wesoły i szczebiot i gwar. — Długimi rzędami stają wózekki dziatwy drobnej, maleństwo rozgląda się zdziwionymi oczkami, dostrzegasz trochę rumieńców na ich twarzyczkach, trochę krwi na ustkach rozwartych do uśmiechu.

Mój Boże! powietrze w Saskim ogrodzie.

Zapewne, że jak to mówią: na bezrybiu i rak ryba — lepiej godzin parę spędzić w cieniu drzew Saskiego ogrodu, niż błądzić po rozpalonych brukach miasta, lub siedzieć między czterema ścianami, zawsze prawie, ciasnego mieszkania. Codzienni goście ogrodu, cieszący się zielenią rozłożystych kasztanów i napawający swoje piersi znajdującem się tam powietrzem, przywykli już do tego powietrza i zdziwili by się nie mało, gdyby kto nie przyklasnął ich upodobaniom. Przez porównanie jednak dochodzimy do zrozumienia dobra czy piękna. Po przepelnieniu piersi własnych wonnem, zdrowem sielskim powietrzem, jakże bez żadnego zapachu wydało mi się powietrze Saskiego ogrodu. Czy przywykłe do przedziwnej kryształowości dalekiej nawet przestrzeni — w tym ogrodzie owiane zostały mgłą kurzawy wzbitej stopami przechodniów. Biedne piersi dziecięce wdychają ten pył rozsiany w powietrzu, cieszą się, że czerpią zdrowie, że nabierają sił do niewiadomej im jeszcze walki z życiem. To też pomimo wszelkich sanitarnych urządzeń, doskonałe zbudowanych ścieków, najczęstszego zlewania chodników i ulic — z powodu tłumów już samych, mikroskopijny pył ciągnących za sobą, — miasta *zdrowemi* nazwać się nigdy nie będą mogły. Najdotkliwiej to czuć się daje — dzieciom.

Tygodniowy wykaz śmiertelności Warszawy — prawdziwych przyjaciół tych milusińskich przerazić może. Umierają młodzi i starzy, umierają z chorób przeróżnych, ale te zejścia są niezem w porównaniu ze śmiertelnością dzieci. Gdy z różnych przypadłości i chorób zakaźnych liczba starszych nieprzechodzi na całą ludność Warszawy cyfry 30; dzieci umiera 90 li tylko na niezbyt żołądka. Roku zeszłego liczba tych dzieci wahała się między 50 — 57, z bieżącym niezwykłe poskoczyła w górę. Zwiększenie się to zdaje się nam, że niezupełnie harmonizuje ze wzrostem rocznego ogółu mieszkańców. Pod względem czystości, miasto zrobiło ogromne postępy; przyczyniły się do tego: kanalizacja, zaopatrzenie prawie wszystkich już mieszkań w dobrą, filtrowaną wodę, wadzawianie ulic, rozszerzenie i zaprowadzanie wciąż nowych skwerów. Powietrze — o ile może być w mieście dosięgającym liczbę 600,000 mieszkańców — jest względnie dobre. Zwiększenie się więc śmiertelności dzieci z powodu niezbyt żołądka, źle mówi o ich odżywianiu, bądź z przyczyny wzmagającego się braku środków materialnych, bądź z używania złych produktów.

Jeżeli pierwsze może być prawdą, ostatnie nie ulega wątpliwości. Władza policyjna wykrywa nieustannie fałszowania masła, mleka, tych codziennie używanych do kuchni produktów. Już gotowe preparaty przywożą na targ włościannie nawet. Dość jest przyzwyczaić się do nabiątu spożywczego na wsi, by znaleźć różnicę — na niekorzyść produktów miejskich.

Czyż w tym względzie dojdzie się kiedy do względnej doskonałości, Bóg raczy wiedzieć, tym czasem wykazy śmiertelności dzieci w Warszawie są więcej niż niepomysłne.

Ale szala zewnętrzna miasta dziwnie szybko się zmienia, a zmienia się na lepsze. Kto znał Warszawę przed laty dwudziestu, niepoznałby jej dzisiaj; po upływie lat jeszcze tyłuż spotka go ta sama niespodzianka.

Przyjrzyjmy się brukom. Jak one szybko powstały i udogodniły jazdę. Skwery rosną, jak na drożdżach nawet i park ujazdowski już nęci oko przechodnia, a na rok przyszyły zapełnią go tłumy i zwykły gwar miejski. Opuszczony od dawna ogród Krasińskich, nie na żarty się stroi; powstają coraz nowe gmachy a o kształtach coraz piękniejszych. — Przed niedawną jeszcze opuszczony, z rudera po środku plac Krasińskich — zazielenił się drzewkami i pięknym rozleślał się gazonem. Już, przedłużając Nowiniarską ulicę, stanął okazały czteropiętrowy gmach, a dalej, dalej przy ulicy Dzielnej dosiadał już szczytu kościół św. Augusta, piękną wieżycą strzelił w błękity, na której niebawem zajaśnieje krzyż złoty. Wzniosły to pomnik ś. p. Augustowej Potockiej, który wkrótce się stanie prawdziwą ozdobą miasta i potrzebą nabożnych dusz. Nowe więc skwery, ogrody, kamienice i świątynie przybyły dzisiaj Warszawie, niedaleka zaś przyszłość ma jej przynieść zupełnie nową dzielnicę, piękniejszą niż wszystkie inne. — Szanowni czytelnicy domyślają się, że mówimy o olbrzymim placu Szpitala Dzieciątka Jezus, który nabyła kompania francuska i z pięknymi się nosi projektami.

Projekty — to nie fakt jeszcze...

Zapewne!

Ale sądzimy, że dany nam dzisiaj przedsmak tych mających powstać piękności, nie zostanie czezą marą tylko.

A projekty są, zaiste piękne i ciekawe.

Bo oto: W nowej dzielnicy mają stanąć całe szeregi domów o architekturze skończenie pięknej. Nie mówimy już o brukach, które z natury rzeczy odpowiadać muszą brukom Krakowskiego-Przedmieścia i innych pryncypalnych ulic. Cała nowa dzielnica ma być oświetlona światłem elektrycznym, mówią też, że szpitalny kościółek, ozdobiony z zewnątrz pozostanie nietknięty — chodzą też wieści o zbudowaniu zupełnie nowego o potężnych rozmiarach kościoła, co byłoby wypadkiem bardzo pomyslnym dla tej właśnie dzielnicy miasta, pozbawionej świątyni. Kompania francuska ma nadto jeszcze zamiar dźwignąć nowy gmach teatralny, w którymby się 1,000 widzów pomieścić mogło. To wszystko *ma być*.

Za wiele to może obietnic, za wiele może przepięknych projektów, ażeby wszystkie w czyn się zamieniły. W każdym razie to nie są już w księdze niepamięci zamknięte sławne bulwary Devarsa. Fakt sprzedaż placu po Szpitalu Dzieciątka Jezus daje prawo do pomyslnych sądów.

Co się tyczy ogółu miasta to i tu możemy się spodziewać zmian niemałych. Myśl oświetlenia elektrycznym światłem, przybiera coraz realniejsze kształty; mówią też coraz głośniejsze o elektrycznych tramwayach. Nie na rękę to belgijskiej kompanii, której kontrakt zawarty z miastem kończy się dopiero po latach dwudziestu.

Ale to nie przesądza sprawy.

Miasto nie będzie zaprowadzało nowych linii tramwayów elektrycznych obok konnych. Gdyby nawet miało prawo ku temu, zabrakło by miejsca, na tak, naprzykład wązkich ulicach, jak Nowy Świat. Ale Warszawa w stosunku do swojej wielkości zamała ma tych dróg komunikacyjnych. Setki ulic są pozbawione tego dobrodziejstwa, po nich to mogą przebiegać powozy tajemniczą iskrą gnane.

Powstała też niedawno myśl ułożenia bruku wzdłuż całej Ujazdowskiej alei, aż do Belwederu. Naradzano się nad wyborem kostek drewnianych czy asfaltu prasowanego. Piękność i trwałość przemawiały za asfaltem, ale w danej chwili pierwszeństwo oddano względem ekonomicznym. Postanowiono więc aleję Ujazdowską wyłożyć brukiem drewnianym.

Energiczny zarząd miasta nie lubi raz przyjętym i zatwierdzonym projektom dawać długiego spoczynku. W bieżącym więc jeszcze roku rozpoczyna się roboty około uregulowania alei Ujazdowskiej

i bruk drewniany ma być kosztem 50,000 rs. ułożony na całej przestrzeni, poczynając od placu S-go Aleksandra aż do ulicy Pięknej. Szkoda jednak, że ten asfalt jest tak kosztowny. Cichość tego bruku przydała by się Alei, która jest miejscem ślicznych spacerów, popisem zaprzęgów możliwych panów, kursowaniem powozów żywymi wypełnionych kwiatami.

Leez, gdy już Warszawa tak na seryo zabrała się do podniesienia swych wdzięków, i coraz nowe a nowe stroje na siebie bierze — niech nie zapomina o pewnych brakach, które dopełnić potrzeba a które jej piękne rysy tak bardzo szpecą.

Od lat już kilku ulica Miodowa bezpośrednio połączyła się z Krakowskim-Przedmieściem. Prawa strona Nowo-Miodowej ozdobiona została pięknymi domami i wystawami sklepów, ale jej *vis-à-vis* za nadto po szubrawsku wygląda. Prawdziwie piękny ten punkt miasta szpecą nieotynkowane nawet ściany złamanych dawniej części domów, a ogrodzenie z desek, zabierające miejsce chodnika, ubielone wapnem — estetycznego nie w sobie nie ma. To samo jest i z nowopowstałą ulicą Kapucyńską. Śliczne frontony domów i kościół Przemienienia Pańskiego wabią oczy przechodniów, aż oto na wylocie ulicy, w głębi, obok bardzo ładnej kamienicy, pstrzy się jakiś mur stary o małym okratowanym okienku. Nie wiem dla czego, lecz z temi różnymi brakami, z temi niedokończeniami w skończonych już dzielnicach miasta — Warszawa robi na mnie wrażenie starej elegantki, zapominającej ciągle o pewnych nieporządkach w swym stroju. Mimo to jednak, Kocham cię, moja poczeiwa Warszawo, zrosłem się z tym gwarem nieustannym, z twym kurzem przebiegającym czasami przez ulicę, z kąpielą nawet nieproszoną, a dokonaną przez stróżów, trzymających gumowe węże w swych dłoniach. To też, jak syn dobry staram się dostrzeżone wady twoje niezależnymi od ciebie okolicznościami tłumaczyć; znam każde drgnienie twojego serca, które sierocą łzę otrzeć potrafi i miłosierdziu szeroko otwiera ramiona. Nie będę kłamał przed tobą, Warszawo! że z pewnem uczuciem tkliwym pożegnałem wieść, która mnie gościnnie przyjęła — ale bez żalu rzuciłem słodkie wzasy, by znowu w nurtach gwarnego twojego życia utonąć, przypaść do łona twojego i wyszeptać ci wiele serdecznych rzeczy i od ciebie trochę szepców posłyszeć. Znow jestem twoim, posłuszny na twe wołanie, na twój kuszący głos Syreni.

??

## W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

XI.

Wiadomość o śmierci pani Adamowej Starskiej, jakkolwiek niespodziewana, niemal nawet przewidywana, silnie wstrząsnęła Joasię, ale wtrąciła ją prawie natychmiast w wyjątkowy stan psychiczny: bezmiernego spokoju. Nie było w niej ani radości ani bólu, — ani trwogi i lęku o to, jak rozwikłają się okoliczności, ani też najmniejszej niecierpliwości, aby chwila rozjaśnienia nastąpiła co rychlej. Była w niej cisza, niezakłócona, wszystko ogarniająca i łagodząca sobą bez żadnych oczekiwań i zwrotów ku minionym czasom. Rzechy: cisza wprost głębokiej, nienaruszonej niezem pewnością, która żadnych wahań i obaw nie dopuszcza, — cisza niezachwianego przekonania, i również niezachwianego postanowienia.

Pani Tekla właśnie dnia tego z łóżka powstała raz pierwszy na godzin parę, gdy Anielka, przyszedłszy jak codzień podczas jej choroby dla po-

mocy w pielęgnowaniu, wiadomość przyniosła o tem, że z Dobronowa przyjechano po trumnę, po ubranie, a podobno i wspanialsze światło do kościoła, niż to, jakiego dostarczyć mogła skromna kaplica wiejska.

Joasia wszystkiego wysłuchiwała, prawie się nie odzywając. Siostry wypytywały o szczegóły: A kiedy zmarła skończyła, kto strój będzie przygotowywał—jaki? a czy i księży z miasta sprowadzą, gdzie ją pochowają...? Ona tych drobiazgów nie była ciekawa. Dusza jej *nim* stanęła od pierwszej chwili z tem pragnieniem, aby dla niego być siłą i ukojeniem, którego bądź co bądź, czuła, że potrzebuje. I już go nie odstępowała. A rozpołowiwszy się tak na dwie części, dla domu pozostawiła jednak pełną przytomność umysłu, troskliwość o chorą matkę, słodycz i niezmienną pracowitość. W niczem więc nie objawiał się na zewnątrz ten podział myśli i odlot ich daleki.

Drugim człowiekiem, który na pozór zdał się też niezmiennym, choć w głębi uległ silnemu wstrząśnieniu, był pan Tomasz Kubik.

Ani wizyt co dzień drugi nie ograniczył, ani słowem jednym o państwa Starskich nie potracił, i w obejściu usiłował nie zdradzić. Jednak z badawczością niezmierną patrzył na Joasię, zwłaszcza w chwilach, gdy tego dostrzedz nie mogła, jak gdyby chciał przeniknąć, co w niej jest, zanim sam usta otworzy! Dusza zaś jego musiała być widownią zmian i przewrotów najrozmaitszych. Niekiedy bowiem smutek wielki zasępiał mu czoło pod coraz bardziej siwiejącym włosem, jak gdyby ucuwał napewno, że poświęcenie jego przyjętem zostanie—szczęście uleci...

Czasem znów z taką spoglądał żalnością i takim ciepłem, że widać było, iż pyta w rzewnym roztkliwieniu siebie, losu, Boga: „i czyż może być jej z tym lepiej, z kimkolwiek na świecie lepiej, niż byłoby ze mną?... A niekiedy znów, gdy nagle, po zamyśleniu uczynił jakiś ruch oderwany, gdy powstał żywo, ręką zakreślił nie wiedzieć za czem, lub krótko przystrzyżoną brodę pogładził—widać było, że powodowanym jest jakąś siłą, która chce zerwać wyczekujące milczenie i pchnąć go do narzeczonej wprost z temi słowy: „Idź, idź za głosem serca.—a na mnie całkiem nie zważaj!... W każdym razie szczęśliwą będziesz, bo kochasz go bardzo... Idź, idź!... masz słowo swoje — mnie dość radości móżdż ci je zwrócić...”

Nieraz też bez powodu wyraźnego pot ocierał na skroniach—i znów raz poraz krawat rozwiązywał w roztargnieniu, co wszakże nikogo już nie rozśmieszało.

Joasia wszakże, mając struny własnego serca i własnej wrażliwości naprężone niezwykle, mimo czujności, jaką pan Tomasz chciał w panowaniu nad sobą utrzymać, odgadywała utajone w nim wahania, przemiany i walki. I to z czasem budziło w jej wewnętrznym spokoju przykre zakłócenie—wtrącało ją chwilami nawet w zupełną moralną rozterkę i utarczkę samej z sobą.—O szlachetnej ofiarności narzeczonego nie wątpiła, boć wolność oddawał jej nawet wówczas, gdy chodziło o całkiem obojętnego człowieka. Ale właśnie to ją bolało, że przy całym uznaniu jego niezwykłych przymiotów duszy, gotowa je wyzyskać na swą korzyść. I pewne skrupuły, czy uczciwie z jego dobroci korzystać, jakich w pierwszej chwili nie doznawała, poczynały w niej powstawać i do roztrząsań wewnętrznych popychać.

— Może nieszlachetnością i samolubstwem z mej strony odsunąć go po tych paru latach czekania—myślała — ale czy mogę inaczej postąpić, czy mogę?... Nie łudziłam go przecie co do moich uczuć,—wyznałam jeszcze niedawno prawdę...

Z Adamem czuła się związaną węzłami nierozrwalnymi, mimo że on je stargał. I poczucie to odzywało w niej przy każdej sposobności. Albowiem ta pierwsza miłość, w którą przelała cały ogień serca i pragnień, wiążąc ją z pełnią zadań, jakie umysł obejmował, była w niej jako miłość prawdziwie jedynym uczuciem, niezdolna się powtórzyć względem nikogo w równej sile, ani zagasnąć ze szczerem mimo głębokiego zachwiania, przez jakie przeszła. Z biegiem czasu przyjmowała tylko coraz inny charakter; lecz na dnie zawsze pozostawała gorącym pragnieniem, by jednak jeszcze być czemś dla tego człowieka, który jej się wydawał więcej

słabym, niż winnym, zmiana, zaś w swem postępowaniu znów umocniła ufność w pewną przewagę, jaką jej nad sobą przyznawał.

— Co za tem uczynić powinnam? co uczynić?—pytała nieraz w poważnej zadumie, słysząc w sobie dwa głosy obowiązku, rozpoznając dwa sprzeczne popędy uczciwości. Ale serce—jakkolwiek z wdzięcznością i przyjaźnią ku narzeczonemu się zwracało—to wszakże gorącym pierwym ulatywało gdzieindziej, dowodząc tem wielkiej może, choć ludzkiej słabości, i bardzo przeważając szalę.

Dość że walki w niej ucichały, nie usuwając wszelako szczerzej przykrości; a w ślad zatem przenikała ją rzewna tklivość na widok narzeczonego. Poprostu bowiem byłaby pragnęła niejako zawczasu uzyskać przebaczenie za odstępstwo dokonywane w myśli, i chciała współczuciem koić i łagodzić ból, jaki sprawiała.

Zadne jednak się nie odzywało. W sprawie samej zaś nie zachodziły najmniejsze zmiany, więc i bodźca wyłącznego do rozmowy nie było; zresztą chwile swobodniejszego sam na sam bardzo rzadko dla nich się zdarzały.

I tak jednostajnie dni upływały. Grudzień już zawitał ciemny i posepny. Wieczory wlokły się bez miary długie.

— Jak to pan czytywał nam głośno w roku zeszłym! — rzekła razu jednego Joasia do pana Tomasza.

Przypomniała sobie tę rozrywkę, zapełniającą dawniej wiele chwil bezbarwnych; przytem narzeczonej wydawał jej się ogromnie smutnym. Znów poczuła tedy wyrzuty sumienia. Pomiarkowała nawet, jak po nagłym przebudzeniu, że ostatnimi czasy, we własnych tonach myślach, rzadko zwracała się do niego wyłącznie i przyjaźnie.

Blżej przysunęła krzesło i podjęła z ożywieniem:

— Czytywał pan, i ja tak lubiłam to czytanie,—a teraz nawet pan nie wspomni o swoich pracach! I cóż tam słyszał? Oddawna nie wiem jak postępują? Studium o Eschylosie pewno daleko posunięte, a może na ukończeniu?

Czoło filologa rozjaśniło się nagle wielką przyjemnością, jak blaskiem słońca. Ale smętna chmura wnet przelotną radość przyciemniła.

— Niestety!—odparł z cichym westchnieniem.—Końca mego studium nawet w myśli jeszcze nie widać!

— Więc pan nad przykładami teraz pracuje? A cóż w obrotach? Edyp Sofoklesa?

Kubik zmieszał się nieco i krótką ręką zatoczył w powietrzu, niby odganiając marę niewidzialną.

— Ech, prawdę powiedziawszy prawdę, wcale nie pracuję, — wyrzekł eicho, z trudnością, jakby mimo chęci, jakby z ostatniem słowem już żałując, że je wypowiedział.

— Dla czego pan nie pracuje?—żywo zagadnęła Joasia—lecz wnet się pomiarkowała.

Pan Tomasz bowiem zamiast odpowiedzi zwrócił na nią wprost, a zwolna oczy tak pełne wymownego żalu i udręczeń, że zdał się niemi mówić: „I ty pytasz jeszcze?... I ty nie widzisz, nie rozumiesz?”

Ona patrzyła na niego rozwartemi, przejrzystemi źrenicami, z których wnet odbił się też wyłączny wyraz: „A żebyś ty mnie zrozumiał, żebyś ty przebaczył...”

To też wzrok ich w sekundzie zlał się wejrzeniem, które odrazu na dno dusz sięgnęło, i tym jednym rzutem rozpoznali, a raczej przed sobą wyznali wszystko, co w głębi ukryte spoczywało.

Lica jej spłoneęły zwolna wydobywającym się na wierzch rumieńcem, a ciche lecz głębokie westchnienie uleciało z piersi. I nie spuszcżając źrenic, przygięła się ona z bezmierną słodyczą w rysach, niemal z prośbą i z pokorą—i delikatnie przyłożyła dłoń do ręki jego, na poręczy krzesła opartej.

On głowę przechylił—i z tklivością niewypowiedzianą pocałował tę drogą nad wszystko rękę.

Mgła oczy Joasi przysłoniła; drżącymi palcami raz jeszcze długo uścisnęła jego szorstkie palce.

Rozumieli się oboje.

Od tego dnia we wzajemnym stosunku między nimi było jeszcze więcej ufności i serdeczności; może i nie więcej, ale oba te uczucia zaznaczały się wybitniej, a ciepło i miękko.

Otwarcie i częściej zamieniali ze sobą dłuższe spojrzenia, a za każdym razem wydawało się, że

oczy jej mówiły: „Tak—odejść; lecz i cienia żalu do mnie mieć nie będziesz...” Jego zaś wzrok opowiadał już bez wahań, a z tajemną promiennością podniosłej duszy, która w poświęceniu rozkosz i siłę znajduje: „Idź, idź, ukochanie moje najmilsze—ja tylko twego szczęścia pragnę...”

A przecież oboje tylko na przeczczeniach się opierali, nie wiedząc zgoła, czy przyczyna, którą mieli na myśli rzeczywiście między nimi stanie, jako rozdział na zawsze.

I czas biegł, a jej istnienia z osłon wcale nie wydzierał.

Otaczający, jak zwykle nie poznawali wcale tej niemej gry uczuć między narzeczonymi i przeobrażen, jakie się przygotowywały.

Po Nowym Roku wszakże, gdy pani Tekla doszła już do lepszego zdrowia, a gdy przy karnawałowej porze rozeszły się po mieście pogłoski o ślubie Mańki Zdziarskiej, która jak Klotylda z małżeństwem się pośpieszyła, i ślubie Tekli Chrupalskiej, której przecież długo się nie „trafiało“ ale w końcu „trafiło“—pan Wiktor jakoś się zamyślił i przestając młynka kręcić odezwał:

— Ale to siak, owak, lepiej, gorzej, każda za mąż się wynosi, a wy trzy ani dudu. I tak zaraziłyście swem towarzystwem Anielkę, że i ona rutkę sieje, a wątpię aby to Roźnieckiej do smaku bardzo przypadało. No i cóż? nie skrócisz profesorowi tego paska na jakim go trzymasz?—zwrócił się wprost do Joasi, wiedząc dawno o odłożeniu ślubu.

— Nie, mój ojciec; zostawię rzeczy ich biegowi,—odparła ona.—A tymczasem myślę nawet praktykantki od Marca przyjąć. Bo wczoraj właśnie odebrałam trzeci list od tego Jędruskiwicza, który tak wytrwale proponuje mi swoje córki; oznacza wcale niezłą opłatę za utrzymanie i naukę. Sądzę więc, że można się zdecydować, w każdym bowiem razie korzyść odniosą, a ja straty mieć nie będę.

— Ani się wahać, rzecz prosta,—odrzekła Ludka.

— Zapewne, bardzo to pięknie i dobrze, ale nie wiem jak jedno z drugim do sensu poskładać,—odezwał się ojciec.—Bo jużżiż parę miesięcy nauki im nie wystarczy; a dałaś profesorowi słowo, toć musisz je dotrzymać. Po co więc te plany i plany z głowy dobywać jak sztukę tasiemki z kieszeni? Nie wypałe ja Kubikowi w oczy jak Roźniecka, bo na co człowieka żółcią poić? Ale on w samej rzeczy zdziadział, poźółkł, przyłysiał—powinności się już raz pobrać. Będziesz to, moja kochana, czekała, aż się zrobi do niczego? Nie widzę w tem twojego rozsądku.

Pan Tomasz naprawdę tak zmieniony i smutny, że aż żal bierze patrzeć! — ze współczuciem wtrąciła Frania.

Joasia milezała pomieszana. Wszystkie skrupuły przytłumione odżywały; i rozgrzeszenie, jakie wyczytywała z oczu narzeczonego, ciężarem spadało na duszę. „Czyż godzi się je przyjąć?... A jednak, jednak!...”

Twarz jej się mieniła.

— Ale to wiesz, że mam kłopot, — mówiła tymczasem Frania po krótkiej przerwie. — Pani Zenobia tak zasłała, że nie chce nadal podejmować się pośrednictwa. Pamięć ze wszystkim straciła; dziś było właśnie mnóstwo zamętu z jakimiś paniami, którym zaginęły u niej gipiury, dane do sprzedania.

— Moja droga, dziękuj Bogu, żeś ty nie straciła u niej robót lub pieniędzy, — odezwał się pan Wiktor.—Bo ta pani mało doleżna, a ta „Franelka“ znów skończony półgłówek, który wszystkich zarówno, jak słyszę, do salonu zaprasza na kanapę.

Joasia oprzytomniała. Żywo przypomniała sobie spotkanie z Adamem—i nawet bacznie nasłuchiwała, czy jakiej uwagi odnośnej do tego nie pochwyci. Lecz nie.

Odpowiedziała też Frani spokojnie:

— Skoro pani Zenobia się usuwa, to w domu przyjmuj zamówienia. Wyrobisz sobie tym sposobem imię i klientelę, będziesz tem łatwiej mogła zczasem otworzyć zakład.

— Co? Ta fryga ma mieć znowu zakład?—podjął ojciec.—Koniec świata! A to już chyba jakąś budę sobie wystawisz na te nowe warsztaty,—dodał kuląc ramiona, jak gdyby ze strachu przed ruchem, jaki mógł w przyszłości powstać.

Frانيا się zastanowiła przez chwilę poważnie—lecz wnet z dziecięcą wesołością poczęła opowiadać o kocich ulubieńcach swojej protektorki, ich figlach

i wybiegach, zabawiając tem matkę, a głównie ojca, który się napowrót ożywił.

W tem weszła Anielka Rożnička z miną uroczystą i tajemniczą; zabrała Joasię natychmiast do oddzielnego pokoju, z kąd dopiero po półgodzinnych szeptach ją wypuściła.

Joasia wszakże zasiadła na powrót, przy stole i spokojnie rozpoczęła sklepanie torebek na nasionka, czem obie z Ludką zajmowały się tego popołudnia; tylko po ustach jej błędził tak obiecujący uśmiech, że siostry młodsze zaczęły spoglądać po sobie z niecierpliwem oczekiwaniem.

— I cóżeście tam wyszeptaly z tym ministrem od sekretnych poruczeń?—zagadnął pan Wiktor.

Joasia żywo spojrziała, jakby dopiero miarkując, że za długo milczy.

— Cośmy wyszeptaly? Ot nowinę, która powinna tatkę zadowolnić, a może i kogoś więcej. Władysław Rożnička chce prosić o rękę Ludki.

— O mnie? O mnie?—wykrzyknęła zelektryzowana dziewczyna podskakując na równe nogi.

— A to wyśmienite!—przyklasnęła Frania.

— Więc nie masz nic przeciw niemu?

Ludka w odpowiedzi rzuciła się na szyję Joasi.

— No, to i masz babo kaftan!—zawołał pan Leski—Chłopak poprawdzie widać ma rozum na to, że zawsze kobietę za żonę wziąć musi, i klin klinem postanowił wybić. Ale cóż ją tak w te pędy wyprawiacie? Może i ona znacznie swoje ceregiele i każe mu nowicyat lat kilka odbywać? He? Ludka! Mówże przecie!

— Ach nie, mój tatko drogi... ja nie... owszem—bąkała dziewczyna cała w ponsach i oszołomiona z radości, bo oddawna kochała się we Władku a do czekać nie mogła, aby o Joasi zapomniał.

Pani Tekla głową kręciła z niedowierzaniem, jak gdyby nie mogąc wszystkiego dobrze objąć. A w końcu łzy otarła, wyrozumiawszy, iż rozstanie z dzieckiem ją czeka.

Ludka na widok ten otrzeźwiała.

— Ależ, mamó kochana!—wykrzyknęła,—niech się mama nie martwi, ja często będę przyjeżdżać bo przecież bilet wolnej jazdy będziemy mieli!

— A! więc już tak napewno się wybierasz? — zauważył ojciec.

Dziewczyny się roześmiały. Ludka zaś do matki przypadła zawstydzona i twarz na jej ramieniu ukryła.

— Zawsze to jednak ze względu na nasz ogród szkoda, że Władysław nie wybrał Frani,—pół żartem odezwała się Joasia.

— Mnie?... Ależ ja dziękuję za uczucia „na wymiany.“ Chcę być kochaną wiernie, długo, bez podziałów, jak ty przez pana Tomasza!

— No, to Bogu podziękować jest nadzieja, że kilka lat jeszcze w domu posiedzisz! — powiedział pan Wiktor.

Ludka tymczasem głowę podniosła i z niepokojem spojrziała po siostrach.

— Śmiejecie się, zartujecie... więc on może wcale mnie nie kocha? może tylko matka namówiła go, albo Anielka?

I z wielkiego rozradowania wpadła w serdeczny płacz—i wybiegła.

Pan Wiktor w głos się zaśmiał.

— Paradne historye z temi dziewczynami! Ale przynajmniej ta jedna pokazała wyraźne skłonności do małżeństwa. Tyś, bo ani razu tak nie skakała i nie beczała moja kochana,—zwrócił się do najstarszej — Prędej też liczyć można na chleb z maki, którą Ludka na swoim gospodarstwie wypieczę, prawda duszko? — dodał, pochylając się ku żonie i w rękę ją pocałował.

(Dokończenie nastąpi).

## WIADOMOŚCI

### Z HYGIENY I MEDYCyny POPULARNEJ.

#### Wzrok i jego pielęgnowanie,

przez

D-ra Stanisława Kamińskiego.

„Oczy są zwierciadłem duszy;“ mówi przysłowie; z większą słusnością psycholog i fizyolog mógłby powiedzieć: „oczy są zwierciadłem dla duszy,“ albo też wyraźniej: „oczy są zwierciadłem, w którym dusza widzi obrazy świata zewnętrznego.“ Jak w zwierciadle odbijają się w nich kolejno obrazy otaczającej nas przyrody i jak w zwierciadle giną one, nie pozostawiając pozornie po sobie żadnego śladu; oczy są jak ta „wielka i czysta“ woda Mickiewiczowska, która widzi i odbija wszystko dokoła, a sama:

...jak dawniej czysta  
Stoi wielka i przejrzysta.

Bo rzeczywiście jeżeli oczy są w tem podobne do płytki fotograficznej, że odbija się na nich rzeczywisty obraz z warunkowany pewnymi zmianami chemicznymi w siatkówce (o czem niżej powiemy), to tem się różnią od tej płytki, że obraz ten znika prawie natychmiast po usunięciu przedmiotu, co go wywołał i siatkówka staje się podobną do czystej tafli szklanej odbijającej z równą dokładnością nowy przedmiot. Bo w oczach po odbiciu obrazu nie pozostaje nawet jego wspomnienie: oczy dają tylko obraz przedmiotu, wyobrażenie jego powstaje w mózgu i jako takie stać się może z czasem wyobrażeniem niejasnym, wspomnieniem. Oczy dostarczają wyobrażeń mózgowi, duszy; lecz wyobrażenia mózgowe nie dają nigdy obrazów oczom. Nawet podczas halucynacji, gdy widzimy przed sobą najwyraźniej przedmiot, na siatkówce nie ma bynajmniej obrazu tego przedmiotu: tam mogą się odbijać tylko rzeczywiście istniejące przedmioty: oczy tak jak zwierciadła nie pokażą nam nigdy John-King'a, jeśli ten nie jest mającym cielesną powłokę pomocnikiem Eusapii.

Ten czysto fizyczny charakter przyządu wzrokowego t. j. oka musiałem zaznaczyć na wstępie, dla uniknięcia wszelkich pod tym względem nieporozumień. Oczy dają tylko obrazy, widzi te obrazy mózg, dusza, tak jak obraz na płycie fotograficznej widzi fotograf, lecz bynajmniej nie płyta. Sprawa więc widzenia składa się z dwóch odmiennych zjawisk:

1) Czysto fizycznego, jakim jest odbicie, wyfotografowanie się przedmiotów barwnych na siatkówce.

2) Czysto psychicznego, jakim jest wytworzenie wyobrażenia danego przedmiotu w mózgu i jego wielkości, kształtów, odległości etc.

Przyjrzyjmy się więc naprzód czysto fizycznemu zjawisku, sprawie wytwarzania obrazów w oku. Ponieważ oko jest przyrządem bardzo małym, mniejszym, po większej części od przedmiotów, które nas otaczają i w niem się odbijać winny, musi ono być w ten sposób urządzone, aby przedmioty te mogły się odbijać w całości, mogły się pomieścić na płycie fotograficznej, jaką jest siatkówka oczna. Gdyby oko było tylko zwierciadłem, to odbijałoby tylko część przedmiotu równej sobie wielkości: w małym zwierciadle nie zobaczymy całej swej postaci, nieraz tylko część twarzy. Musi więc istnieć w oku przyrząd, któryby umożliwiał widzenie przedmiotów w całości, przyrząd zbierający promienie świetlane wychodzące od przedmiotów. Przyrządem takim są ośrodki załamujące światło w oku, zbierające rozproszone promienie świetlane w jeden punkt.

Wiadomo jest z fizyki, że jeśli promień świetlny przechodzi z ośrodka pewnej gęstości do ośrodka innej gęstości, to zmienia on kierunek, załamuje się. Dla tego to, jeżeli część laski pogrążymy w wodę, to wyda się ona nam złamana. To samo ma miejsce jeżeli promień świetlny przejdzie musi na przykład przez szkło: przedmiot postawiony po za

grubem szkłem, nie wyda nam się wprawdzie złamanym, gdyż cały widziany jest poprzez szkło, lecz wyda nam się leżącym w innym miejscu niż rzeczywiście. Dla tego to nie możemy dokładnie pochwycić przedmiotu, na który patrzymy przez przyrząd. Na zasadzie więc prawa załamywania promieni świetlnych zbudować możemy przyrząd, który promienie te załamuje będzie w ten sposób, aby one po załamaniu zbliżyły się do siebie i dały całkowity obraz przedmiotu na niewielkiej przestrzeni. Przyrządem takim jest znana każdemu soczewka dwuwypukła, wchodząca w skład najprzeróżniejszych przyrządów optycznych: lupy, lornetki, mikro i teleskopu, wreszcie t. z. ciemni optycznej (camera obscura), na zasadzie której zbudowano aparat fotograficzny, który każdy z nas posiadał przed wynalezieniem fotografii we własnym oku. Soczewka dwuwypukła ma tę własność, że zbiera promienie świetlne rozchodzące się od przedmiotów w jeden punkt i daje obraz tego przedmiotu. Obraz ten może być rzeczywistym, t. j. takim, który odbi się może na ekranie i urojonym t. j. leżącym w przestrzeni po za przedmiotem, obrazem takim jak obraz w lustrze. Obraz rzeczywisty powstaje wtedy, gdy przedmiot znajduje się dalej niż odległość ogniskowa soczewki; jest on wtedy rzeczywistym, gdyż można go zebrać na ekranie, odwrotnym gdyż górny punkt przedmiotu znajduje się u dołu ekranu i odwrotnie, wreszcie jest on zmniejszonym i tem więcej zmniejszonym im przedmiot znajduje się dalej od ogniska soczewki\*).

Tak więc w oku znajdować się muszą przyrządy załamujące światło na podobieństwo soczewki, przytem soczewki, mające odległość ogniskową bardzo niewielką, taką mianowicie, aby wszystkie przedmioty widziane leżały dalej niż ognisko soczewki. W samej rzeczy w oku znajduje się soczewka, której odległość ogniskowa wynosi 4 ctm., więc pojąć łatwo, że wszystkie przedmioty prawie leżą dalej, niż odległość ogniskowa, a więc dają obraz zmniejszony i odwrotny przedmiotu. Oprócz soczewki istnieją w oku jeszcze inne środki załamujące światło, o których pomówimy niżej, dodatkowe te jednak ośrodki w niczem nie zmieniają zasadniczych, fizycznych własności soczewki. Gdy więc w oku tworzy się przy pomocy soczewki zmniejszony i rzeczywisty obraz przedmiotu, musi być również ekran, na którym obraz ten mógłby się wyrysować.

Ekran ten istnieje w głębi oka poza ośrodkami, załamującymi światło. Jest to błona, mająca kształt odcinka kuli, zwrócona swą wklęsłą powierzchnią na wewnątrz. Błona ta zowie się *siatkówką*. Naturalnie, że błona ta, siatkówka jest nieruchomą, i dla tego jasno na niej odbijać się mogą tylko obrazy, znajdujące się w takiej odległości, iż promienie świetlne, wychodzące od danego przedmiotu po załamaniu się w oku, przecinają się na powierzchni siatkówki. Promienie wychodzące od przedmiotów dalszych lub bliższych przecinają się: pierwsze przed siatkówką, drugie—poza nią. Zamiast więc punktu świetlnego na siatkówce, odpowiadającego punktowi świetlnemu przedmiotu, mieć będziemy mniej wyraźne koło, t. z. obraz rozproszony. Siatkówka oka normalnego, znajduje się w samym tylnym ognisku soczewki resp. ośrodków załamujących światło w oku: jasne więc obrazy na niej dają tylko przedmioty, znajdujące się w nieskończonej od nas odległości, a więc wysyłające promienie równoległe. Do takich przedmiotów należą słońce i wogóle ciała niebieskie świecące.

Taką jest fizyczna zasada budowy oka: ośrodki załamujące i ekran, na którym się obraz rysuje.

Obraz ten jest zmniejszony, odwrotny i przytem w rzadkich tylko wypadkach jasny. Niedosć na tem, obraz jest płaski, bez perspektywy; podobny do rysunków na chińskiej porcelanie. Jeżeli w rzeczywistości jest inaczej, jeżeli widzimy zarówno dobrze odległe jak i bliższe przedmioty, jeżeli widzimy je w położeniu prostym, jeżeli wreszcie, widzimy bryły, a nie płaszczyzny, jeżeli wreszcie zamiast światła i cieni widzimy barwy przedmiotów, to już to ma miejsce nie dzięki fizycznym, lecz

\* Dla braku miejsca nie mogę tu podawać objaśnień bliższych; co jest ognisko soczewki, jak się w niej załamują promienie znajdzie czytelnik w najbardziej elementarnym podręczniku fizyki.

fizyologicznym własnościom oka. Aby zrozumieć te ostatnie, znać trzeba budowę anatomiczną organu wzrokowego.

Oko leży w t. z. jamie ocznej, dole znajdującym się w górnej części twarzy pod czołem. Jama ta ma kształt ostrokąta z podstawą zwróconą ku przodowi, wierzchołkiem ku jamie czaszkowej, z którą to ostatnią łączy się przy pomocy kilku otworów, służących za przejście dla nerwów i naczyń ocznych. Oko mające kształt prawie kulisty, leży w jamie ocznej bardzo swobodnie; poruszać się może ono we wszystkich prawie kierunkach: w boki, w górę, w dół, jak to ma miejsce w stanie normalnym; może być również wypchniętem ku przodowi, lub zapasać się w głąb, które to dwa ostatnie zjawiska są już patologicznymi. Gałka oczna składa się z tkanki, załamującej światło i tkanki, na której rysują się obrazy świetlne—są to części główne oka; do nich należą: rogówka, płyn wodny, soczewka, ciało szkliste—ośrodki załamujące światło, i siatkówka—ekran, na którym rysują się obrazy świetlne; następnie z tkanek dodatkowych, mających na celu albo ochronę oka, są to: powieki, łącznica, białkownka; albo też odżywianie i utrzymanie go w pewnym stanie wilgotności: błona naczyniowa, gruczoły łzowe, albo też wreszcie mające za zadanie przystosowywanie oka do widzenia dokładnego przedmiotów, znajdujących się w mniejszej lub większej odległości w tym lub owym kierunku od naszych oczu, mniej lub więcej oświetlonych; są to tęczęwka i okrągły w niej otwór—żrenica, torebka soczewkowa, mięsień rzęskowy i wreszcie mięśnie gałki ocznej.

Jeżeli wyjmemy oko z orbity (oczodołu) i przekroimy je prostopadle do długości ciała, to na tym przekroju będącym mogli dokładnie zbadać budowę oka. Pominąwszy łącznicę, o której powiemy poniżej, mieć będziemy następujące warstwy tkanek licząc od przodu ku tyłowi:

1) rogówka—przezroczysta wypukła błona, która wydaje się zabarwioną, dzięki leżącej pod nią barwnej tęczęwce.

2) Przedłużeniem tej błony ku tyłowi i w głąb jest t. z. białkownka, biała tkanka przeświecająca na oku przez warstwę łącznicy gałki ocznej.

3) Między rogówką i tęczęwką ku przodowi znajduje się przestrzeń wypełniona płynem wodnym jest to t. z. przednia komora oka.

4) Tylną granicę tej przedniej komory stanowi tęczęwka, lub tęcza błona barwna, od której zależy kolor oczów. Przedłużeniem tej błony ku tyłowi jest błona naczyniowa, naczyniówka, zawierająca liczne naczynia służące do odżywiania siatkówki. Do tęczy przyczepia się mięsień rzęskowy, który przez skurcz swój kieruje, tęczę ku przodowi; przeciwnie, gdy mięsień wolniej tęcza opuszcza się ku tyłowi. W przednim środkowym odcinku tęczy znajduje się otwór okrągły—żrenica, przez którą promienie świetlne dostają się do głębi oka. Żrenica otoczona jest mięśniami, z których jedne rozszerzają ją, drugie zwężają.

5) W otworze tęczy leży główny ośrodek załamania światła w oku,—soczewka składająca się z przezroczystej galaretowanej substancji. Soczewka otoczona jest błoną szklaną t. z. torebką soczewkową. Ta torebka utrzymywana jest w pewnym napięciu przez t. z. rąbek Zinn'a, małe wiązadło idące od soczewki do przedniego brzegu siatkówki. Gdy mięsień rzęskowy kurczy się (patrz wyżej) rąbek Zinn'a wolniej i soczewka wskutek swej elastyczności staje się bardziej wypukłą.

6) Soczewka z tyłu przylega, leży na t. z. ciele szklanym, rodzaju galarety wypełniającej całe wnętrze gałki ocznej. Ciało szkliste jest przezroczystym, zarówno jak rogówka i soczewka.

7) Ciało szkliste otoczone jest ze wszystkich stron najbardziej wewnętrzną błoną oka t. z. siatkówką. Ta ostatnia jest właściwie rozgałęzieniem nerwu wzrokowego, wchodzącego przez jeden z otworów w jamie ocznej do tej jamy. Budowa siatkówki jest bardzo zawiła, opisywać jej więc tu nie będziemy, powiemy tylko, że na niej odróżnić możemy dwa punkty: a) punkt wejścia nerwu wzrokowego, punkt ślepy, na który jeśli padną promienie świetlne, to ich wcale nie odczuwamy i b) punkt leżący na zewnątrz poprzedniego t. z. plamę żółtą—miejsce najlepszego odczuwania promieni świetlnych. Siatkówka jest więc nie tylko ekranem, na

którym rysują się obrazy, lecz zarazem końcowym przyrządem nerwu czuciowego, za pomocą którego nerw oczny odczuwa wrażenia świetlne i przesyła je do mózgu. Reasumując w krótkości wszystko co było powiedziane wyżej, widzimy, że ośrodki załamujące światło w oku otoczone są szeregiem błon układających się na sobie jak warstwy cebuli. Idąc od zewnątrz ku wewnątrz błony te są następujące:

- 1) Rogówka z białkownką.
- 2) Naczyniówka z tęczęwą.
- 3) Siatkówka.

Z tych błon tylko rogówka jest przezroczystą. Ośrodkami załamującymi światło są: rogówka, płyn komory przedniej, soczewka i ciało szkliste.

Przechodźmy teraz do tkanek ochronnych oka. Do nich należą białkownka, o której mówiliśmy wyżej, łącznica, gruczoł łzowy i powieki. Te ostatnie znane są każdemu: są to przedłużenia skóry w kształcie ćwierćkół, mogące być otwieraniem i zamykaniami. Czynność ich jest zrozumiałą dla każdego. Wewnętrzną powierzchnię powiek wyścieła błona słuzowa t. z. łącznica, która zachodzi również na przednią część białkownki oka. Ma więc ona kształt worka, na który od strony dna wtłoczona jest gałka oczna. Na dnie tego worka istnieje otwór, przez który wychodzi rogówka. Brzeg otwarty worka łącznicy stanowi szpara międzypowiekowa. Gruczoły łzowe znajdują się na zewnętrznej stronie gałki ocznej. Wydzielają one bezustannie płyn bezbarwny, słony, który zwilża gałkę oczną i wewnętrzną powierzchnię powiek. Łzy zbierają się u nosowego kąta oka w t. z. worek łzowy z kąd spływają do nosa.

Jeszcze o jednym narządzie wspomnieć musimy, t. j. o mięśniach gałki ocznej. Przyczepiają się one do zewnętrznej powierzchni białkownki, a biorąc początek u wierzchołka jamy ocznej. Mięśni tych jest 6; mają one za zadanie poruszać gałkę oczną: na zewnątrz, na wewnątrz, ku górze, ku dołowi, ku górze i ku wewnątrz,—ku dołowi i ku wewnątrz. Ruchy gałek ocznych mają wielkie znaczenie przy sprawie widzenia: dzięki im możemy, nie odwracając głowy obejmować wzrokiem przedmioty nie leżące na wprost nas.

Gdy takim sposobem znamy już zarówno fizyczne własności oka, jak i jego anatomiczną budowę, przyjrzeć się możemy bliżej czynnościom tegoż, sprawa widzenia przedmiotów. Promienie świetlne od danego przedmiotu wpadają przez żrenicę wewnątrz gałki ocznej. Jeżeli przedmiot nie jest zbyt silnie oświetlony, albo oko nasze przyzwyczało się do danego oświetlenia, wtedy żrenica pozostaje nieruchomą, w przeciwnym razie zwęża się ona; zwęża się również przy patrzeniu na przedmioty bliskie. Pierwsze dzieją się pod wpływem podrażnienia świetlnego i ma na celu uchronienie siatkówki i również jak załamujących światło ośrodków od działania zbyt silnej podniety; drugie jest t. z. ruchem współczesnym, zależnym od tego, że jeden nerw działa zarówno na mięsień rzęskowy jak i na mięsień zwężający żrenicę. Ma tu miejsce to samo zjawisko, co naprzykład przy zginaniu jednego z wyprostowanych palców u ręki, zwykle gdy chcemy zgiąć jeden, zginają się wszystkie.

(Dokończenie nastąpi).

## Z WŁOCH.

Rzym jest jedynym wielkim miastem Europy, w którym pora letnia nie sprowadza wyludnienia. Ponieważ Leon XIII nie wydała się nigdy po za jego obręb ruch pewien trwa tu ciągle, bo pobożne pielgrzymki przybywają ze wszystkich stron świata z hołdem czei, składanej Stolicy Apostolskiej, a że dzień 18 sierpnia, dzień S-go Joachima jest zarazem rocznicą jego urodzin i imienin świeckich, śpieszą tu z wyrazami czei swojej i życzeń liczne rzesze ludu, a we wszystkich kościołach Wiecznego Miasta odbywają się nabożeństwa uroczyste. Szczególniej wspaniałe są one w starożytnej świątyni, kościele S-go Joachima, jak też działo się i w tym roku.

W wilią dnia tego odbył się wieczór artystyczny, którego koncert składał się z najznakomitszych arcydzieł muzyki kościelnej, tak nowocześniejszej jak i starożytnej, a zdaniem tych, którzy sądy wydawać tu mogą, ta ostatnia stoi zawsze górą, snadź serca były niegdyś goręcej i rozbudzało to gorętsze natchnienie. Nazajutrz, w sam dzień S-go Joachima, odbyło się w Watykanie zgromadzenie bardzo uroczyste i bardzo wspaniałe przez zgromadzenie wszystkich dostojników kościoła, oraz przedstawicieli starych rodów rzymskiego patrycyatu. Tron papieżki otoczyło trzynastu kardynałów, liczne grono biskupów i arcybiskupów, a Leon XIII czuć się już musiał znudzonym, ale uważał to sobie za obowiązek i usiłował nie pokazać tego po sobie, a miało to miejsce w wielkiej sali biblioteki watykańskiej, której wyborna akustyka, pozwoliła słyszeć każdy wypowiedziany przezeń wyraz.

Między mnóstwem nadeszłych tu telegramów był jeden z wyspy Kuba, od synowca Leona XIII, który dla różnicy przekonań naraził mu się niegdyś i przez lat wiele nie był między nimi stosunków żadnych, ale tak tu, jak i wszędzie, na stanowiskach wszelkich, ludzie nie mogą zamknąć na zawsze serca dla związków rodzinnych i Ojciec Święty uczuł się wzruszonym bardzo choć to ukrywać pragnął. Telegram młodego króla hiszpańskiego, którego ojcem chrzestnym jest Papież, sprawił też bardzo miłe wrażenie, a zapewne nie był mu przez nikogo dyktowanym, a kończy się z serdecznością tkliwą „Błagam Niebios o zachowanie w lata długie mego świętego Ojca Chrzestnego.

Bardzo też uroczyste odbyło się kilka dni temu odsłonięcie w miasteczku Belluno pomnika, wzniesionego tam ku czei żołnierzy włoskich, poległych w ostatniej wojnie. Towarzystwo aktowi temu władze wojskowe i cywilne, oraz nieprzeliczone tłumy ludzi wszystkich stanów i ze stron Włoch różnych, a miasteczko było całe przystrojone w zieleń i kwiaty; flagi z rozmaitemi godłami powiewały, na placach miejskich, grały orkiestry wojskowe a wieczorem przez miasto wspaniałe oświetlone odbył się pochód z pochodniami. Już to włosi umieją dać takim uroczystościom charakter wspaniały, a odbywa się ich tu obecnie niemało. W Alpach na szczycie góry Rocciomelone, wznoszącej się o 3,537 metrów po nad miastem Susa, wzniesiono kaplicę w stylu starowłoskim, a w której odprawiono w tych dniach mszę pierwszą z wielką okazałością, przy dźwiękach tręb jednego z pułków alpejskich i przy ogromnym zebraniu nietylko okolicznego ludu, bo przybyło na tę uroczystość z Turynu i innych miast, osad Piemontu, przeszło tysiąc osób. Ma tu stanąć jeszcze na samym wierzchołku góry brązowy posąg Matki Boskiej i niechaj też ludzie daleko stojący nie wydają sądów o stanie religijnym włoskiego narodu.

W Padwie, której starożytna bazylika zalicza się do najpiękniejszych pomników starej architektury włoskiej, odbyło się w dniu 16 bieżącego miesiąca bardzo wspaniałe nabożeństwo ku czei św. Antoniego, który 700 lat temu przyszedł na świat w tem mieście. Celebrował tu arcybiskup wenecki w licznej towarzystwie wyższego kleru, a sumę odprawiono przy ołtarzu, będącym dziełem starożytnego kunsztmistrza, Donatello, a który odnowił budowniczy Boito, nasz rodak pół krwi przez matkę. Wielce też uroczyste odbyło się w Parmie przeniesienie do wzniesionego świeżo grobowca zwłok wielkiego mistrza tonów, Paganiniego. Spoczywały tam one przeszło lat pięćdziesiąt; zabalsamowane przechowały się tak dobrze, że twarz daje się poznać każdemu ze znajdujących go kiedyś osób, lecz jest ich już bardzo niewiele.

W liczbie uroczystości zapowiedzianych na doroczny obchód święta dla Włoch całych, w d. 20 września odbędzie się między innymi przegląd weteranów starej tej armii, która okryła się we Włoszech wiekopomną sławą. Jest tam przecież między nimi nie jeden tak ubogi, że nie będzie mógł się zdobyć na spawienie sobie munduru, jaki niegdyś nosił dumnie, a którego szczytki uważa za relikwie, w którychby trupa jego na wieczny odpoczynek złożono. Zostaną im też wszystkim rozdane medale specjalne, które każdy będzie miał prawo nosić choćby przy łachmanach prostej siermięgi. Zajął się tem pocziwie generał Cosenz, współtowarzysz ich przeszłości, człowiek może najpopularniej-

szy we Włoszech, a który w d. 20 września stanie znowu na czele szyków, które się utworzą i będzie przedstawiał królowi starych swych towarzyszy broni.

Przygotowania do tych uroczystości odbywają się na rozmaity sposób. Poeta Carducci, klasyk silnie stojący przy tradycyjnej we Włoszech szkole klasyków, projektuje odśpiewanie d. 20 września podłożonych pod muzykę strof, wziętych z Horacjusza a do których dyrektor konserwatorium w Parmie, Galignani, dorobił muzykę. Wiersz ten jest wspaniale piękny i gorąco wypowiadający uczucie jego miłości dla Rzymu a zaczyna się od wyrazów: „O słońce! bogdajbyś nie mogło widzieć nigdy nie szczytniejszego nad Rzym...“ „Trzeba przecież na to rzymian takich, jacy byli w Rzymie za czasów tego wieszca...“ ozwał się w jednym z dzienników uczony mąż, historyk Villari, który surowo krytykując położenie Włoch ekonomiczne dowodzi, że najpilniejszą obecnie sprawą jest tu obok uproszczenia administracji, głębsze wejście w finansowe położenie kraju, zarzucając tu zarazem złe użytkowanie grosza publicznego, co szczególnie dzieje się w południowych Włochach. Państwo darowało gminie Neapolu sto milionów lirów na podniesienie miasta w jego instytucjach społecznych, w jego stanie finansowym, jakże przecież zostały zużytkowane?

Wzniosły się szeregi wspaniałych kamienie z bardzo niskim czynszem, a dla dania im miejsca, burzono domki ubogie, w których chroniła się ludność pracująca. *Gallerio Umberto 1-a* dźwiga wspaniałe wyniosłe swe szczyty po nad miastem, a brakuje dachu nad głowami biedaków. W Palermo, wydało czternaście milionów lirów na teatr opery; w innym podrzędniejszym mieście, Caltanizeto, pałac prefektury kosztował milion lirów, a podatek podwyższony o 30,000 lirów, został zużyty na zbudowanie teatru. Rząd włoski zna te nieprawidłowości, ale trudno mu jest usunąć je odrazu, przecież zwolna dokonywa tego, lecz złe, zakorzenie przez wieki nie łatwo daje się usunąć.

Kwestya rozbójników jest tu sprawą palącą, i z nią też trzeba się załatwić przedewszystkiem, a jak ta rzecz stoi dość powiedzieć, iż w części Włoch najludniejszej, najwyżej ucywilizowanej, bo pod miasteczkiem Poretto w pobliżu Florencji, zuchwały opryszek jeden wskoczył nagle do wagonu klasy pierwszej, gdzie siedziało dwóch podróżnych i grożąc im rewolwerem ograbił ich z pieniędzy, 2,000 lirów i wyskoczył potem zaraz tak szybko i zręcznie, że o ściganiu go myśleć nie było można. Wysłędzono przecież w okolicach miasta Manfredonia bandę rozbójników, dwóch braci Fratarnolo; urządzono na nią oblawę i stoeczno walkę, która przecież nie była zwycięzką dla wykonawców sprawiedliwości. Po krótkiej utarczce rozbójnicy zdołali uciec i ukryć się tak w okolicy, że wysłędzić ich nie zdołano i tylko wyprowadzono inkwizycję z włości okolicznych, między, którymi bardzo wielu daje im schronienie. Legenda o Rinaldo Rinaldinim jest tu jeszcze faktem żywym.

Młodzież włoska ćwiczy się z wielkiem zamiłowaniem w strzelaniu do celu. Na konkursie, odbytym w maju 1890 r., stowarzyszenie strzeleckie miasta Brescio otrzymało pierwszą nagrodę i złączony z nią zaszczyt przechowywania w murach swoich chorągwi stowarzyszenia. Teraz przecież chorągiew ta stanie się nagrodą taką najdzielniejszego strzelca, że otrzyma ją na przechowywanie w miejscu przebywania swego, a dodać należy, że konkurs ten ma znaczenie donioślejsze, niż inne z powodu, że odbędzie się w rocznicę wiekopomnej pamiątki, d. 20 września i wszystkie włoskie oddziały stowarzyszenia czynią ogromne przygotowania, aby je spotkał zaszczyt ten wielki. W pochodzie uroczystym zajmie ona miejsce pierwsze. Komitet utworzony w Marsylii przez zamieszkałych tam Włochów, uchwalił wysłanie w dniu tym uroczystym adresu do króla Humberta, do syndyka Rzymu i zarazem otworzenia listy zapisów dla członków, mieszczącej się tam kolonii włoskiej na cel wzniesienia w Rzymie pomnika Wiktorowi Emanuelowi, a w Meksyku ma ona odbyć całym gronem swoim pochód uroczysty przez kolonię włoską.

Drugostronnie mnóstwo też darów otrzymuje Ojciec Święty jako przeciwstawienie owacyom, którymi Włochy pragną uświęcać dzień objęcia przez

niech Rzymu. Bogaty amerykański, bankier Troop z Filadelfii, zawezwał społeczeństwo swoje w oddziale wyznania katolickiego, aby wykazało Leonowi XIII-mu swoje dłań uczucie przez dar tak trwały, któryby mógł być pamiątką tej chwili po upływie wieków a to sporządzenie lektyki całkowicie srebrnej, którąby wykonano w Ameryce kosztem 200,000 franków, jak to według planu wykazuje kosztorys. Obok tego nastąpić ma w swoim czasie wielki zjazd Amerykanów do Rzymu i spodziewać się można, że przy współdziałaniu osób przybywających na tę uroczystość do Świętego Miasta, będzie to rzecz niepospolita.

August

## SZKICE Z PODRÓŻY.

### KONSTANTYNOPOL.

Podczas pięknego kwietniowego dnia, gdy świat cały nurza się w blasku pogodnego popołudnia i powietrze dokoła roztacza cudną woń, wychodzę z olbrzymiego bazaru, po za Yeni-djami najnowszego meczetu w Stambule, na swobodną przestrzeń, znuzona zmordowana, biedniejsza o wiele piastrow, a bogatsza o jakie pół tuzina prześlizniętych starych rupieci. Tak rozpoczyna swoje opowiadanie pani Bernardyna Smidt.

Z przewodnikiem moim rozmawiamy przeważnie na migi. Jest to Grek wyspiarz, wysmukły Chiot będący w usługach Paszy u rodziny, którego gościłam; mówię po turecku i grecku, umie ze dwadzieścia słów włoskich, i z dziesięć francuzkich. Ja znam angielski, francuzki i niemiecki i z pięć słów po włosku; w razie potrzeby wystarcza nam to przy potocznej rozmowie, zwłaszcza że oczy Chiota są niezmiernie wymowne. Toruje on mi drogę przez tłum krzyżących, i przedstawiających swoje towary handlarzy, aż do targu ryb, Balyk-Bazaru, którego ożywienie, ma się już ku schyłkowi z powodu rozprzedaży towaru.

Pozostały jeszcze tysiące srebrnych rybek umieszczonych w płaskich koszykach lub miskach, a które później posolone i ususzone, zawieszają się łańcuszkami na domach cichych przedmieść i wiosek, a miłosierny Imam trendowatych ze Skutari, czyni zakupy i zamienia przy tem poważnie, uprzejmie ukłony z żebrzącym Derwiszem w kaftanie o różnobarwnych łątach.

Oto jesteśmy już nad samym brzegiem błękitnej wody przy moście Walida, a mój Chiot daje mi do zrozumienia z tragicznym wymownym spojrzeniem, że pragnąłby bardzo odwiedzić swą matkę mieszkającą na lewo pomiędzy przedmieściem Fanar i Balat.

„Gdyby dama nie była damą, powiedziałabym: Balat jest bardzo ciekawym, bardzo bardzo zajmującym!“

„A więc, przejedźmy się tam panie Nicoli.“

„Pani!“ wstrząsa głową i z wyrazem przestachu gładzi swe błyszczące włosy i porządny swój mundur.

Ponieważ nie rozumiałam go odrazu, widzę w nim rezygnację nieszczęśliwego teatralnego kochanka; emokując językiem, odrzuca w tył głowę zwyczajem greków, i woła opalonego, żyłastego Kaikdji, rzucającego na nas ciekawe i cheiwe spojrzenia.

W mgnieniu oku, godzimy się z właścicielem łódki i siedząc bliźutko siebie, powierzamy się wężkiej łódce, noszącej nazwę kaika. Owe tureckie gondole, a zwłaszcza mające po jednym tylko wioslarzu, są uważane, jako bardzo niebezpieczne; ja jednakże nie poddaję się wcale uczuciu trwogi. Te łódeczki są tak zgrabne i śliczne, wężki ich brzeg, opiera się tak mocno na pieszczotliwych połyskujących falach, że—gdy, unikamy wszelkich zbytecznych i uiedorzecznych ruchów, unoszą się one i płyną na tych falach z szybkością i lekkością ptaka, jak tocząca się piłka. Najpewniejszy i najprzyjemniejszy sposób siedzenia jest po turecku. Nasz kaik ma wyjątkowo pięknie wyrżnięte boczne ściany; złoczone łodygi tulipanów, łączą się z rzędami pereł; jak we-

soło i odpowiednio, odbijają na tle jasnej barwy oliwkowego drzewa! Wjazd do złotego rogu o nadzwyczajnym ruhu okrętów, jego brzegi pokryte pagórkami, na których wznoszą się i tłoczą grupy domów przedmieścia olbrzymiego miasta, o stu kształtach i stu różnych barwach zdobne, jak klatka na ptaszki, ciemne jak kazamaty, razem całość jest wspaniała. Ponad grupami domów, wznoszą się ponad kapuły i minarety, śpiżaste cyprusy, czarne, jak węgiel szerokie pinele, (gatunek sosny) ciemno-zielone Judaszowe drzewa, pokryte kwiatem ciemnoróżowo-ponsowego koloru! A przytem, jakie ożywienie! Prskanie, sapanie i świst parowców, łagodny szmer poruszonych żagli, w chwili zakładania ich, czystym głosem wymawiane przez Kaikdjisa „warda!“ t.j. „strzeż się“ melancholijny i dziki śpiew turków, którzy bardzo umiejętnie obrabiają greckie pieśni. A ta woda tak spokojna i piękna niebieskawo-zielona połyskująca, złoci się miejscami i oczy olśniewa.

Przejeżdżamy wzdłuż Fanaru greckiego przedmieścia, nie zatrzymując się wcale; i wylądowujemy w Balacie. Zrozumiałam wyraz przerażenia, malującego się poprzednio na obliczu mego przewodnika, wstrząsnęłam się na widok tych miejsc, gdzie gnieździ się nędza moralna.

Bniemy przez uliczki, nieskończonej długości, pełne śpiżastych wystających kamieni. Gdzie okiem, spojrzeć—najstraszniejszy upadek! Drewniane chatki i baraki w kształcie namiotów, opierają się o wilgotne zrujnowane pozostałości murów, wiszą nad urwiskami, zapadając głęboko w grunt. Brudne psy skomląc brną przez błota; zaniebane kobiety ze wstrętnym śmiechem, piorą niemożliwe łachmany. Przed spruchniałymi od starości sklepami krzyk i zgiełk nie do opisania. Wszędzie wstrętne wrażenie! Tylko Bochor kotlarz, podnosi nieśmiały wzrok od swej roboty, przypatruje się nam, a na zapytanie mego przewodnika, jak można żyć i oddychać w takich miejscowościach, odpowiada: „Bóg sprawiedliwy wydobędzie Swój naród z głębokiej nędzy w jaką jest pogrążony, my czekamy!“ Odpowiedź ta, wzrusza mnie do głębi.

Okrażamy narożnik najbliższej ciemnej ulicy, wstępujemy na stromą górę, to znów na dół i w łukowatym kierunku, posuwamy się ciągle prosto na przód i zbliżamy do dzielnicy cyganów. Ten sam brud, większy jeszcze upadek, nędzniejsze namioty lecz co za rozkosz dla oka malarzy! Mężczyźni na kształt starożytnych bronzowych posągów, w okropnych łachmanach; kobiety wysokie o szczupłych biodrach z nóżkami wązkiemi o dystygowanych kształtach, kroczą majestatycznie ze swym glinianym garnkiem na kędzierzawej głowie. Inne stoją u drzwi swych mieszkań, a tiulowe welony ciemnoszafirowe, zwieszają się na ich brunatne lica i na ubranie w rodzaju kaftana płowo-ponsowego koloru. Tu zbliża się do nas Madonna Murilla z prześlizniętym dzieciątkiem na rękę, brunatnej cery, zupełnie nagim, z oczkami, błyszczącemi jak świetlane kulki; na prawej ręce przewiązany ma amulet, sznurek niebieskich paciorek z wieszadłem w kształcie rybiej łuszczyki. Cała gromada dzikich chłopaków wpada za nami, zręcznie wywija w powietrzu krótkimi ostremi nożami wołając: „Czego tu chcecie wynosić ztąd przeklęty psie, ruszaj biała suk!“ Gdy jednak mój przewodnik bierze za broń, wszyscy chłopcy uciekają, jak zmcyi. Wprost tej młodocianej bandy rabusiów w małej kotlinie pomiędzy otwartą pochyłością i opustoszałą po spalaniu dzielnicą, bawi się gromada prześlizniętych dzieciaków odzianych w pstre łachmany. Gdziekolwiek błyszczy się złota blaszka lub zgięta turecka ozdoba z cekinów pomiędzy żółtymi i ponsowemi gałgankami, wiszącymi na kształtnych członkach dzieci, z taką lekkością, tak niewymuszenie, jak gdyby rzuciła je na ramiona dzieci fantazyja, jakiego silniejszego powiewu.

Dzieci tańczą i bawią się, grają na trąbkach i dzwonią tamburinem błyszczącym prawie od nowości i sprawiającym im widocznie największą przyjemność.

„Ukradzione! Mali złoczyńcy!“ zauważył mój Chiot z pogardą. W tej chwili otwierają się napół rozwalone drzwi nędznego szynku tuż obok nas; wydobywa się ztamtąd przykry zapach zaprzałego oleju oraz papryki i jednocześnie słyszemy dźwięk banury, a melodia smiertelnego smutku jest jakby

skargą pozbawioną wyraźnego rytmu. Nagle słodką tę muzykę zagłuszają ostre dźwięki dzwonek i surmy. W drzewiach staje ogromna wysmukła dziewczyna i zastępuje nam drogę.

„Bak Madama, aman Madama!“ mówi ona słodkim głosem pełnym pochlebstwa, czego nie spodziewałabym się patrząc na te duże zmysłowe usta i zwiężące silne zęby. „Bak Madama!“ „Wysłuchaj mnie kobiety!“ powtarza trzymając tamburino nad głową, a spogląda na mojego młodocianego towarzysza, (który ma żonę i dziecko i uważa się za najszcześliwszego z ludzi) spogląda przenikliwym pełnym ognia wzrokiem dopóki ciemny rumieniec nie wystąpił na brunatną twarz jego.

„Lale“, odzywa się i rzuca jej pod nogi przedziurawioną monetę „Odejdź dyablico, nasze losy leżą w rękach Boga i w naszych własnych; nie potrzebujemy twoich bajeczek.“ Ale przerachował się młody człowiek przeklinający dyabła. Koczujący naród pozbawiony ojczyzny, pozbawiony wiary i przywiązania uprawia po mistrzowsku tajemniczą sztukę „zaklinania“. Czujemy się zwyciężeni przez tę królewską postać „Lale“ w pasowej spódniczce i pasowym gorsieczku, przez jej spojrzenia i szepty, niepohamowaną wolę i natrętną wymowę. Nadechodzi klasyczna „matka cygańska“ i bandurzysta bezwstydnym, chytrym i zuchwałym, chłopak zupełnie kontrast swojego śpiewu; zwykły poszarpany dywan rozpostarty przed szynkiem na ziemi, ażeby przy tej nieprzyjemnej wypadkowej dekoracji wygłosić coś o mojej przeszłości, teraźniejszości i domniemanej przyszłości. „Lale“ nie przepowiada według linii rąk, służą jej do tego twarde ziarna grochu. Stara cyganka przynosi je w brudnej muszlinowej chusteczce, zapytuje mnie przedewszystkiem o moje imię, powtarza je natychmiast głośno i czystym akcentem, następnie bierze ze swojego woreczka taką samą ilość suchych brunatnych ziarn wiele moje imię liczy liter według tureckiego alfabetu. Pomiędzy brunatnymi ziarnami musi być jedno srebrne na dni dobre, jedno czarne ziarno na złe. Wówczas rozpoczyna się wesoła gra, przyczem towarzyszy sobie gościom z zadziwiającym ożywieniem. Niekiedy uśmiecha się do mnie skrycie i mruga rzęsami, podnosząc je w górę i nadół, chwilami jak gdyby przelekniona cofa się, przesiewa rzucone ziarenka, układa je, przesuwając a ciemna jej rączka na wpół podpira niskie czoło, a na wpół zagłębła się w kruczo-czarnych lokach. Następnie podnosi powoli oczy, czego żadna tragiczka niespełniłaby piękniej, i niewystudowałyby naturalniej, spogląda w moje oczy wzrokiem wilgotnym i przenikliwym, zwróciwszy całkowitą moją uwagę na siebie, wyciąga ku mnie rękę, czyniąc przy tem dziwaczne gości i mówi: „Bak Madama, aman Madama.“

(Dokończenie nastąpi).

## Z bieżącej chwili.

— Moskiewskie Wiadomości donoszą, iż roboty przygotowawcze urządzenia wszechrosyjskiej wystawy gospodarstwa wiejskiego w Moskwie, są na ukończeniu. Wystawa trwać ma od d. 27 listopada do 14 grudnia, a zjazd gospodarzy rolnych od d. 10 do 20 grudnia.

— Dzienniki petersburskie, ogłaszają, iż według nowej ustawy giełdowej wykluczeni są z niej bez-

pośrednio wszyscy, dopuszczający się rozmyślnego oddziaływania na obniżanie, lub podwyższenie ceny kursów.

— Komisya petersburska, której zadaniem, jest obmyślenie ulg w przejazdach na wystawę do Niższego Nowogrodu, obwieszcza, iż działalność jej trwać będzie przez cały czas istnienia wystawy.

— Zarząd Warszawskiego Towarzystwa pszczolniczo-ogrodniczego, zwraca się do pszczolarzy, a zarazem i do odbiorców miodu, aby jedni zawiadania- li go pod adresem: ulica Wiejska, Nr. 12, o ilości, posiadanego przez siebie miodu i wosku, drudzy zaś o ile i w jakim czasie, potrzebować go będą? Zarząd, zapraszając do składania tych deklaracji, pragnie ułatwić porozumienie się wzajemne stron interesowanych bez żadnej dla siebie korzyści.

— W Warszawskiej szkole rysunkowej, dopuszczonemi zostali na otwierające się z d. 2-go września lekcye wszyscy z pośród przeszłorocznych, a nowi kandydaci przedstawili świadectwa wymagalne, poświadczone przez urząd Starszych zgromadzenia, do którego należą. Szkoda wielka, że kobiety nie są tu dopuszczone, bo przecież praca kobiety wymaga również w rozmaitych działach swoich znajomości rysunku.

— Na tegorocznym konkursie imienia Rubinsteina w Berlinie pierwszą nagrodę za kompozycję otrzymał Henryk Malcer z Kalisza, wykształcony w warszawskim konserwatorium muzycznym. Konkurs Rubinsteina powtarzać się mają co lat pięć, obecny rozstrzygnięty już w zakresie kompozycji, ma jeszcze do dyspozycji 5,000 rs., nagrody za grę na fortepianie, która w tych dniach ma zostać przyznana, a jak głos znałców wróży, otrzyma ją też zapewne Malcer, a dał on na konkurs kompozycję: „Fragment koncertowy“, przy którego wykonaniu, odbierał już powinszowania od znawców wyższego znaczenia.

— Na kolei warszawsko-wiedeńskiej, organizuje się pomiędzy pracownikami warsztatowemi orkiestra zbiorowa, na instrumentach dętych, z czego cieszyć się należy, bo poczucie artystyczne dając człowiekowi rozkosze szlachetne, broni go od używania poziomych.

— Donoszą z Łęczycy, iż włościanie z pobliskiej wsi Topola, odegrali na cel dobroczynny „Emigracyą chłopską“ Ancyca. Przedstawienie to ma się powtórzyć wkrótce w Ozorkowie na korzyść dzieci osieroconych przez śmierć ojca, nauczyciela ludowego, Smolarkiewicza. W Łęczycy, odbędzie się koncert orkiestry włościańskiej i z prawdziwą radością przyjmować należy te wieści, bo tam gdzie zamiłowanie artyzmu ma miejsce, tam umysły jak serca są już uszlachetnione.

— W miasteczku Grójeu, położonym na trakcie wiodącym z Warszawy do Radomia, mieści się w części jego północnej w grupie starych budynków z drzewa i cegły, domek drewniany, bardzo, bardzo też stary, gdzie według podania miejscowego, miał się urodzić w 1532 r. Piotr Skarga Pawężki, herbu Radwan, najznakomitszy z kaznodziejów naszych, a zarazem pisarz wyższego znaczenia. Pamięć o nim, utrzymała się dotąd w tem rodzinnem jego miejscu nawet między ludem, do czego przyczyniło się znacznie założenie szpitala S-go Piotra z zapisanych na ten cel dóbr ziemskich: Sadków i Wola Sadkowska, lecz obecnie posiadłości te są bardzo zniszczone przez złe gospodarstwo dzierżawców, tak jak i dom w którym się rodził. Właścicielem jego jest nieoświecony człowiek, jak to „Wiek“ donosi.

— Kompanie warszawskie pobożnych pątników w liczbie 1,500 osób wracając z Jasnej Góry przybyli do Gorkowic, gdzie na ich intencję odprawio-

no wotywę pod szafasem płóciennym, rozpiętym na miejscu, gdzie dawniej stał kościół parafialny, a gdzie obecnie oko spotyka po jego spaleniu się smutne pogorzeliśko. Pragnąc przyjść z pomocą ubogiej parafii gorkowickiej, pątnicy złożyli na ręce miejscowego plebana piękny ornat czerwony, chorągiew i wiele drobniejszych darów, oraz w gotówce 294 rs. i ze słodkim zadowoleniem spełnionej ofiary pociągnęli dalej przy odgłosie śpiewanych chórem pieśni.

— W salonie artystycznym na Nowym Świecie wystawiono sześć akwareli pędzla Matejki: „Anioł“ w całkowitej postaci, trzymającego w ręku wagi, „Główki aniołków“, „Dzwon“, „Widok nawy kościoła Maryackiego“ w Krakowie i „Projekt prezbiterium“ w tymże kościele. W salonie znajdują się dwa nowe obrazy Dukszyńskiej. Na wystawę Towarzystwa sztuk pięknych przybył obraz Matejki „Chłopezyk na koniu“, jak przypuszczają syn jego, ładny bardzo, bardzo też wdzięcznie wzrok ku sobie pociągający. Tamże mieści się dzieło wyższego również talentu, krajobraz Henryka Cieszkowskiego „Noc w Rzymie“ a przedstawiający most i zamek św. Anioła w oświetleniu łuny księżycowej. Artysta przeszło lat trzydzieści zamieszkuje Wieczne Miasto i przeniknął się też poważną poezją jego widoków.

— Donoszą z Krakowa, iż w celu przysporzenia sztuce naszej obrazów osnutych na tematach swojskich, oraz ułatwienia dobrego wyboru dzieła do reprodukcji na premium, Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie ogłasza konkurs malarski. Do nadsyłania na wystawę konkursową kwalifikują się w nieograniczonej liczbie obrazy olejne, akwarele i pastele, wykonane w ciągu 1894 i 1895 r., a które poprzednio nie były wystawione w Krakowie. Krajobrazy i wszelkie studia, jako nienadające się na premium, wykluczone są od konkursu. Nagród ustanowiono trzy: dwie po 800 koron i jedną w kwocie 400 koron. Nadto w razie wyboru przez dyrekcję jednego obrazu na premium, Towarzystwo wypłaci się jego autorowi za prawo reprodukcji tym sposobem, że obraz który zostanie wykonany na premium otrzyma 300 koron. Artysci chcący wziąć udział w konkursie powinni nadsyłać przed d. 1-5ym Grudnia pod adresem Towarzystwa deklarację, w której należy podać przedmiot obrazu, cenę jego i adres swój.

— Miejskie archiwum Krakowa coraz to się powiększa, budząc zajęcie badaczy starożytności. D-r Stanisław Krzyżanowski, archiwaryusz, wykazuje tu wzrost ciągły, bo tak ofiarodawcy prywatni, jak i magistrat miasta, Akademia Umiejętności, Zakład Osolińskich, Muzeum, depozyty cechowe, i depozyt Nowego Sącza zwiększyły znacznie bibliotekę, oraz zbiory dawnych aktów i nadań, odcisków dawnych pieczęci. Nad wszystkimi temi zbiorami czuwają niestrudzenie: D-r Stanisław Krzyżanowski i D-r Adam Chmiel.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Skaza na honorze** przez M. Betham-Edwards. Przekład z angielskiego, ark. 4-ty.

**TREŚĆ:** Antoni Zaleski, przez M. I.—I po co?... przez Selima. — Pogawędka, przez ??—W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej, przez d-ra Stausława Kamińskiego. — Z Włoch przez Augusta. — Szkice z podróży. Konstantynopol. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Skaza na honorze, powieść przez M. Betham-Edwards, przekład z angielskiego ark. 4-ty. — Przegląd mód. 28 wzorów i robót z opisem. — Sekreza gospodarskie.—Dyspozycya stołu.